



PISMO TYGODNIOWE

Rok VI. Warszawa, 6 marca 1921 r. № 10 (142)

TREŚĆ NUMERU: Spokojnie! — Z okazji strajku. — Zarzuty przeciw wychowaniu wojskowemu młodzieży. — Z dni wielkich klęsk i wielkich zwycięstw. — O nasz stosunek do dzielnicy Poznańskiej. — Emisarjusze. — *Książki*: Prawda o Górnym Śląsku. — Naganka na osadnictwo żołnierskie. — *Z Polski i ze świata*. — *Prasa*.

SPOKOJNIE!

„Rzeczpospolita“ w numerze porannym z dnia 25 lutego 1921 r. zamieściła notatkę pod tytułem „Nierówności wojskowe“, wykazując ogromny procent (68,33%) oficerów legjonowych na kursie szkoły sztabu generalnego. Skwapliwie powtórzyła tę notatkę nazajutrz „Gazeta Warszawska“. Nie trudno zrozumieć, że przedstawienie tego faktu jest tendencyjne i obliczone wyłącznie na bezkrytycyzm czytelników.

Nierównością wojskową miało tutaj być to, że pomimo egzaminu konkursowego, odbytego pod ścisłym nadzorem (prace zaopatrzone wyłącznie godłami, nazwiska zaś w osobnych, zapieczętowanych kopertach, sąd stanowili wyłącznie fachowi generałowie oraz oficerowie francuscy) dostało się tytułu oficerów, pochodzących z b. Legjonów. Winą i niesprawiedliwością tutaj ma być więc to, że ci oficerowie odważyli się zdać egzamin stosunkowo najlepiej, wykazując największe fachowe przygotowanie wojskowe.

Dla niewybrednych współpracowników „Rzeczypospolitej“

każdy argument widocznie jest dobry, nawet nielogiczny — byle móc wystrzelić z za płota, byle szczuć jednych oficerów przeciwko drugim — dla sportu niemal, zdawałoby się sztuka dla sztuki — byle nie dopuścić do ujednolicenia korpusu oficerskiego w Polsce.

Należałoby raczej pominąć milczeniem te złośliwości, — gdyby sama sprawa nie była tak ważna, a obowiązek obywatelski nie nakazywał wprost zdemaskować robotę tych *sui generis* politycznych paskarzy. Jest bowiem w całej tej akcji wyrafinowana metoda burzenia wszystkiego, co wykazuje nieodpartą wolę w kierunku wytworzenia jednej zwartej siły. To wieczne wyszukiwanie dziur w całym i drobne tanie szachrajstwa, — dobrze sprzedane na rynku — tak zwykły się opłacać w Polsce, że nic już powstrzymać dziś nie może tych hyen, żerujących na żywym organizmie armji.

Podziwiać wprost można tę konsekwencję w partyjnej zaciekłości szczucia jednego t. zw. obozu przeciwko drugiemu. Dziś naganka ta dochodzi do bardzo wysokiego napięcia i doprowadzić może wyłączenie do rzeczy gorszej i bolesnej — większego pogłębienia i tak już zbyt dużego rozdźwięku, zawdzięczającego istnienie swoje, a zwłaszcza trwanie w dużej mierze nieodpowiedzialnej prasie, która zamiast podjęcia inicjatywy zbliżenia w dobrze zrozumianym interesie dobra narodowego — spoistej armji, — stara się grać na najniższych instynktach ludzkich i na wrogiej rywalizacji.

Podkreślić należy z wielkim uznaniem milczenie strony atakowanej i niepodejmowanie swojej obrony metodą analogiczną. A przecież jest to publiczną tajemnicą, że conajmniej niejedno możnaby wyciągnąć na światło dzienne, bardzo wątpliwy zaszczyt przynoszące atakującym. Godnym zaznaczenia jest fakt zostawiania bez odpowiedzi tych insynuacji — oczekiwanie na opamiętanie się. Chodzi bowiem o przyszłość armji, a zdaje sobie dokładnie sprawę każdy z tego, że armja polska nie może stać się wyłączną własnością jednego zgrupowania oficerów, — lecz że prawo obywatelstwa w niej mieć muszą wszyscy ci, którzy w zawód swój wkładają ukończenie jego, inicjatywę i twórczą pracę.

Należy sobie uświadomić fakt ten, że oficerowie, pochodzący z b. Legjonów są w wojsku i w niem pozostaną. Zbyt wiele bowiem duszy w nie włożyli i serca, a poczucie spełnienia szczytnego obowiązku — ugruntowania siły narodowej w dobrze zorganizowanej i wychowanej armji — skłania ich do wypełnienia dzieła aż do końca i oddania zawodowi temu najlepszych lat, zdrowia i siły. Nikt tedy nie może liczyć na

usunięcie się ich z wojska. Napaści systematyczne doprowadzić więc mogą tylko do jednego — do wyraźniejszego wyodrębnienia tych oficerów jako skonsolidowanej grupy, która musiałaby podjąć swą samoobronę, co byłoby niezmiernie niekorzystne, a nawet wręcz szkodliwe i niedopuszczalne ze względu na jednolitość armji.

„Należy doszukiwać się w nas raczej tego, co nas łączy, a nie tego co nas dzieli” — zdanie to słyzy się dziś coraz częściej z niejednych już ust oficerskich. Jest to głęboką prawdą, która zada wreszcie klam destrukcyjnym dążeniom pewnego odłamu prasy, doprowadzając do zbliżenia mimo zaognionych dziś nieporozumień. Gdzie wchodzi w grę dobro armji, a tłem przekonań ludzi jest dobra wola — tam pomost do porozumienia znaleźć się musi. Miejmy nadzieję że we wszystkich t. zw. zgrupowaniach oficerów dobrej woli nie zbraknie. *Gdzie jest jednolity korpus oficerski, jednym obywatelskim duchem przeniknięty — tam tylko morale armji jest wielką.* A dla Polski posiadanie silnej armji jest bezwzględną koniecznością.

A. K.

Z okazji strajku.

Wybuch strajku kolejowego, militaryzacja kolei idąca za nim w konsekwencji, a następnie demonstracyjny strajk powszechny — bez względu na to, czy strajki miały czy nie miały powodzenia, — są to zjawiska poważne w naszym życiu państwowem. Są one symptomatami niedomagania naszego organizmu społecznego i państwowego. Dlatego nie trzeba traktować ich agitatycznie, nie trzeba wyłącznie korzystać z nich jako z okazji do walki politycznej przeciw lewicy, czy przeciw prawicy społecznej — za, czy też przeciw rządowi. Nie trzeba również zadawałniać się tanią pociechą, że jest to jedynie konsekwencja wrogiej agitacji zewnętrznej, — bo jakkolwiek agitacja ta niewątpliwie działa zapobiegliwie, to jednak fakt, że zdobyła ona sobie posłuch, świadczy o nienormalnym stanie naszego podłoża społecznego.

Strajk kolejowy groził już od czasu dłuższego. Najbardziej „prawicowo” usposobiony człowiek przyznać musi, że podatnym dlań podłożem jest kolejarz polski, który otrzymuje pensję od 4½ do 10 tysięcy marek, a nie otrzymuje należącej się mu aprowizacji. Jeśli wstrzymywany był on aż dotąd, to było to niewątpliwą zasługą Związku kolejarzy. Znaną jest

zasada, że dobrze zorganizowany robotnik rzadko strajkuje, bo wie, że bez tej ostateczności organizacja potrafi wywalczyć mu poprawę bytu. Liczył widocznie na to Związek kolejarzy i chciał bez strajku zrealizować postulaty swych członków. Miał obietnice, czynił zabiegi o ich urzeczywistnienie. Ale zabiegi te nie mogły doczekać się choćby częściowo zadawalniającego skutku.

I wytworzyła się sytuacja znamienna. Z jednej strony prawicowe czynniki i ich ekspozytury w rządzie niechętnie były temu, by spełnić postulaty robotników i wzmocnić w ten sposób zaufanie do normalnego ruchu zawodowego, z drugiej żywiły komunistyczne podważały coraz bardziej wśród robotników autorytet Związku, występując przeciw jego „oportunizmowi” i „ugodowości”. Próba, czy stosunki społeczne w Polsce dość są dojrzałe i normalne, która w ten sposób siłą rzeczy stała się kwestją dnia — wypadła, niezbyt pomyślnie. Robotnik okazał, że nie dojrzał jeszcze do tego, by czuć zaufanie do zorganizowanej akcji, rząd zaś utracił sposobność normalnego regulowania zażądań za pośrednictwem czynników odpowiedzialnych. Zaczęły się „dzikie” strajki robotników warsztatowych, za nimi poszedł dziki strajk maszynistów, a za nim Związek proklamował strajk ogólny, bo uległ obawie o swą popularność i o to, by nie stracić kontaktu z masą, wymykającą się z pod jego dyrektyw. Jak zwykle bywa w takich wypadkach, spotkały się interesy skrajne: anarchizującej demagogicznej lewicy, której nie zadawała systematyczna, zorganizowana akcja — i skrajnej prawicy, której solą w oku jest zawsze wszelka organizacja robotnicza.

A rząd?

Rząd chwycił inicjatywę w ręce dopiero po faktach dokonanych. Zobaczmy, czy chwycił ją dość silnie, by sytuację opanować, a nie pozostać w tyle poza rozwojem wypadków.

Bo militaryzacją kolei sprawy się nie załatwi — z tego zdaje sobie sprawę każdy, kto nie chce się upajać frazesem o „silnej ręce”. Jest to tylko doraźne zapobiegnięcie bezpośrednim skutkom kryzysu. Rada na zło leży w tym, by ukrócić wyżkę drożyzny. Otóż do chwili strajku rząd zdobył się w tym względzie tylko na szumne odezwy. Na czyn, na arestowania paskarzy, zdobył się dopiero po strajku — niewątpliwie pod jego wpływem. Rada na zło leży także w poprawie bytu pracowników — rząd o powiększeniu mnożnika zaczął mówić również pod wpływem grozy strajku. I każdy nie biorący udziału w walce, np. urzędnik, oficer, pracownik państwowy, ciesząc się z czynnej walki z drożyzną lub podniesienia

122

mnożnika płac, mimowoli zasługę tej inicjatywy przypisuje nie rozumnej, planowej pracy rządu, lecz akcji strajkujących robotników.

Jakież stąd konkluzje? Powrócić tu musimy do stale przez nas powtarzanego refrenu. Przyczyną zła jest to, że rząd niema zdecydowanego programu wewnętrznego. Na plan ten rząd nie zdobędzie się, zanim nie znajdzie sposobu oparcia się o silne czynniki polityczne, o zwarty blok stronnictw, które taki wspólny program potrafią wypracować. Tylko w tych warunkach możliwe staną się rządy energiczne i zdecydowane, obliczone nie na dni, lecz bodaj na miesiące. Program ten musi objąć sprawy skarbowe, aprowizacyjne i sprawy administracji państwowej. Obecny szef rządu jest niewątpliwie człowiekiem, po którym programu takiego i rządu w myśl jego zorganizowanego spodziewać się można.

Bez programu tego będziemy mieli tylko akty doraźne, które zapobiedz mogą złu na krótką metę, ale niedomagań społecznych leczyć nie będą.

Adam Piłmieńczyk.

Zarzuty przeciw wychowaniu wojskowemu.

Wskazano w poprzednim numerze na potrzebę i konieczność przygotowania młodzieży do służby wojskowej poczynawszy od 17 roku życia, przyczem podano wytyczne programu, unikając świadomie szczegółów, które uwzględnić będzie musiało M.S.Wojsk. przy opracowaniu instrukcji wykonawczych, dla odpowiedniej uchwały Sejmu. Chodziło jedynie, o podkreślenie, że przygotowanie wojskowe młodzieży już w całej Europie jest faktem przesądzonym i dokonany i że uważamy program francuski za najodpowiedniejszy dla Polaków. Zastrzedz się wypada, że wzorowanie się na programie francuskim nie jest jedynym sposobem wyjścia; wskazaniem będzie zapewne zapozyczenie niektórych rzeczy z innych państw, oraz rzecz jasna, praca oryginalna.

Największą zaletą programu francuskiego jest to, że nie przejawia dyscypliny wojskowej, z którą ma się zapoznać młodzież, lecz kładzie nacisk głównie na wychowanie i wyćwiczenie fizyczne przez specjalną gimnastykę i sport, że granicę najniższą wieku oznacza na rok 17, pozatem, że pozostawia, jak najszerze pole inicjatywie w organizowaniu towarzystw i związków młodzieży, naturalnie w ramach, zakreślonych instrukcją ministerjalną. Taki program można przeciwstawić za-

rzutom natury ogólnokulturalnej i pedagogicznej, podnoszonym z różnych stron.

Przed przejściem do omówienia tych zarzutów podkreślić należy, że niewolnicze wzorowanie przygotowania młodzieży na wykształceniu żołnierza znalazło wielu przeciwników również i wśród wojskowych. W tej sprawie przytoczę tu wstęp z książki p. Wł. Kozłowskiego „Pierwiastek wojskowy w wychowaniu młodzieży”: „Wiadomo, że przed laty trzydziestu kilku powstały były we Francji pod wpływem niedawnej bolesnej klęski narodowej tzw. „bataljony szkolne“, które miały na celu zaszczepienie wśród młodzieży francuskiej patriotyzmu i gotowości bojowej... Po kilku latach można było ocenić wartość bataljonów, skoro ich uczestnicy dostali się do wojska jako żołnierze prawdziwi. Wówczas jednak nadzieje rychło się rozwiały, okazało się bowiem, że wychowawcy bataljonów stali się prawdziwym utrapieniem w szeregach nowobranców, jako materiał zmanierowany i niekarny. Odtąd wojskowi coraz bardziej się przeciwko nim wypowiadali... Wybornie tę myśl oddaje słynne orzeczenie gen. Chaury'ego: „Dajcie nam ludzi, a zrobimy z nich żołnierzy“.

Widzimy z tego jakie doświadczenia we Francji wyniesiono i jak kategorycznie skierowano sprawę na inną tory. Musimy z tego skorzystać, by nie powracać do błędów, gdzieś indziej już usuniętych.

W konkluzji wspomniany autor popadł jednak w jednostronność, przez wysunięcie skautingu, jako jedyne sposoby przygotowania wojskowego młodzieży. Wiemy dzisiaj, po latach rozwoju skautingu, (Kozłowski wydał swą rzecz w 1913), że forma w jakiej się on dzisiaj znajduje nie wystarcza tak ze względu na fizyczne jak i moralne ubojowanie młodzieży. Skauting urabia wiele zalet moralnych u młodzieży, koniecznych także dla żołnierza, jak obowiązkowość, karność, braterstwo, poczucie godności, siłę charakteru. Dziś jednak wymagamy od inteligentnego żołnierza, by był świadom praw obywatelskich, urządzeń państwowych i społecznych. Za mały również nacisk kładzie się w nim z natury rzeczy na gimnastykę i początki musztry. Są to rzeczy konieczne, by choć trochę odciążyć wykształcenie rekruta. Wiadomo, że ostatnia wojna wprowadziła zróżniczkowanie funkcji. Dzisiaj każdy niemal żołnierz jest jakimś specjalistą — ten od maszynowych karabinów, tamten od miotaczy bomb, gazów i t. d. Otóż, by można szybko przystępować do specjalizacji, pożądanym jest, by elementarne rzeczy z musztry sobie przyswoił młody człowiek już przed służbą.

Pozatem obejmuje skauting rozległą skalę wieku młodzieży, od 9—16 roku życia. Od 17 roku życia chłopak szuka już innych rzeczy, niż, aby być zuchem i umieć coś pożytecznego. Poczynają go interesować sprawy społeczne, państwowe jako formy i systemy, poczyną się zwracać do trudniejszych rozumowych zagadnień. Otóż nastaje wtedy chwila, gdy chłopak musi z własnych lotów oddać wysilek fizyczny dobrowolnie i świadomie na rzecz państwa, którego potrzeby i braki zaczyna pojmować. Dowiaduje się, o przyczynach, jakie społeczeństwa zmuszają do ukrócenia samodzielnego rozwoju jednostki. Rozpoczyna służbę obywatelską.

Z zarzutami ogólnej natury wystąpił przeciwko militarystyce młodzieży jeszcze w czasie wojny p. Fr. W. Foerster. Chodziło mu o to, że wysunięcie na pierwszy plan bezpośredniego wojskowego wychowania byłoby ciężkim błędem, gdyż „odbierałoby młodzieży spokój i skupienie, przez które chłonie ona w siebie idealne, narodowe tradycje“. Młodzież będzie zaniedbywać się w ćwiczeniach szkolnych. Organizacja wojskowa związków młodzieży przez musztrę i dyscyplinę stwarzać będzie podoficerski ton, który będzie psuć koleżeństwo, i rozwijać koszarowe zwyczaje, skłonność do zarozumiałej pewności siebie. Opanowywanie młodzieńskich chłopców przez wojskowy „drill“ powstrzymuje wykształcenie się i dojrzewanie subtelniejszej karności duchowej i połączonego z nią wewnętrznego prawa kategorycznego, gdyż prawem reakcji pod wpływem „drillu“ młodzi ludzie zachowują się z jawną dziką zuchwałością“.

Trzeba powiedzieć ogólnie, że zarzuty tego autora są zupełnie trafne i słuszne, jednakże tylko w stosunku do niemieckiego społeczeństwa i do prusko-niemieckich metod wojskowych. Dla nas są jedynie wskazówką, że nie możemy czerpać z wzorów niemieckich.

Jest zasadnicza różnica w pojęciu dyscypliny u Niemców a u Francuzów i u nas. Francuska dyscyplina polega na wpojeniu w żołnierza potrzeby jej, jeśli ma istnieć silna i zwycięska armja i sam żołnierz ma się starać o jej podtrzymanie, gdyż to jest jego obowiązkiem obywatelskim; niemiecka natomiast z całym naciskiem starała zmechanizować człowieka rozkazem przełożonego, by postrachem przed karą i brutalnem obejściem się czynić żołnierza powolnym i posłusznym. Wiadomem jest, że szkoła pruska już oddawna kultywowała w sobie zarodki koszar, by tylko przypomnieć szkoły ks. poznańskiego, nauczanie historii w sensie bismarkowskim itp. Zrozumiałem się staje, że przy takim stanie rzeczy w szko-

lach przygotowanie wojskowe młodzieży na wzór niemiecki jest tylko godnem uzupełnieniem ogólnych tendencji wychowawczych. (C. d. n.)

Z dni wielkich klęsk i wielkich zwycięstw.

XII.

Artylerja, lotnictwo, wozy i pociągi pancerne.

W kampanji 1919—1920 roku, artylerja nie odegrała tak wybitnej roli, jak to było w latach 1914 - 1918, gdzie broń ta w wielu wypadkach rozstrzygała o wszystkim. Wojna z bolszewikami była przede wszystkim wojną ruchową, walką względnie małych jednostek, rozrzuconych na wielkich przestrzeniach frontu wschodniego; nie było więc mowy o ciągłym froncie, zabezpieczonym nieprzerwaną siecią drutów kolczastych i innych przeszkód. Zbytecznym było skupianie wielkich mas artylerji do robienia wylomów. Pozycję umocnioną dogodniej było obejść ze skrzydeł i w taki sposób zmusić przeciwnika do opuszczenia stanowisk obronnych. Jedna i druga strona nie rozporządzała przy tym wszystkim dużymi ilościami sprzętu artyleryjskiego i amunicji, tak że nigdy nie dochodziło do bitw artyleryjskich w wielkim stylu.

Artylerja nasza cierpiała przede wszystkim na brak jednolitego sprzętu artyleryjskiego; dopiero w roku 1920 pułki artylerji polowej prawie wszystkie otrzymały działa francuskie. Gorzej było pod tym względem z artylerją ciężką, ale tutaj różnorodność modeli nie jest tak niedogodną, jak w artylerji polowej. Na rozwój i egzystencję naszej artylerji, jak zresztą każdej broni technicznej, katastrofalnie wpływał brak własnego przemysłu wojennego. Wszystko trzeba było sprowadzać za drogie pieniądze z zagranicy i pokonywać ogromne trudności transportowe. W ciągu krytycznych dni lata 1920 r. ciągle stawaliśmy wobec możliwości przerwania transportów z bronią i amunicją i niemożności dostarczenia na czas oddziałom walczącym materiału wojennego. Niestety trzeba przyznać, że sprawę uruchomienia własnego przemysłu wojennego cokolwiek u nas zaniedbano i przez dwa lata bytu niepodległego można było zrobić na tem polu znacznie więcej. Uruchomiono tu i owdzie warsztaty artyleryjskie, gdzie można było uskutecznić poważniejsze naprawy, ale to naturalnie nie wystarczało. Zapotrzebowanie na sprzęt artyleryjski było u nas

1234

względnie duże, nie wszędzie umiano obchodzić się z francuską armatą polową, wskutek czego i zniszczenie materiału artyleryjskiego było nieproporcjonalnie duże. Większość naszych oficerów artylerji, zwłaszcza oficerowie z byłej armji austryjacko-węgierskiej, nie była dostatecznie obznajmiona z nowym sprzętem, nie mieli zresztą do niego zaufania, będąc głęboko przekonani o wyższości artylerji austryjackiej.

Organizacyjnie każda czteropułkowa dywizja piechoty posiadała jedną brygadę artylerji, złożoną z pułku artylerji polowej i pułku artylerji ciężkiej. Jak to już wyżej w rozdziale o wyszkoleniu miałem sposobność zaznaczyć, szemał ten nie liczył się ze stanem wyszkolenia naszej piechoty ani też z wymaganiami wojny 1919—1920 r. Wobec słabego wyszkolenia strzeleckiego naszej piechoty, niedostatecznego wyposażenia w karabiny maszynowe, siła ogniowa takiej dywizji była zbyt małą, bo ilość artylerji polowej stanowczo nie wystarczała. „Wojsko tym więcej potrzebuje artylerji, im jest mniej dobre“ mówi Napoleon. Są korpusy, którym wystarczy jedna trzecia artylerji, jakiej potrzeba innym korpusom“. Słuszność poglądów wielkiego cesarza potwierdziła w całej rozciągłości wielka wojna. Zapewne pod wpływem wzorów wielkiej wojny nasza dywizja miała nieproporcjonalnie dużą ilość artylerji ciężkiej, co w warunkach wojny z bolszewikami było zupełnie zbyt. Jakkolwiek wielkim może było moralne oddziaływanie ciężkiej artylerji, to faktycznie na froncie bolszewickim doskonale można było obejść się ze znacznie mniejszą jej ilością, powiększając za to ilość artylerji polowej. Przez takie rozwiązanie sprawy siła ogniowa dywizji doznałaby znacznie większego spotęgowania. W czasie wielkiego odwrotu z nad Dźwiny i Berezyny po Wiśłę, dywizje patrzyły na ciężką artylerję jako na balast, pochłaniający dużą ilość żołnierzy do osłony. Odsyłano zatem ciężkie baterje na tyły, by przypadkiem nie dostały się do rąk przeciwnika. Większą była nieraz troska o uchronienie ciężkiej artylerji od utraty, niż o jej celowe użycie do walki.

Co do skuteczności ognia naszej artylerji, to wobec niejednorodności, panującej i w tej broni, trudno wyprowadzić jakieś ogólniejsze wnioski obowiązujące dla całego wojska. Pod względem wyszkolenia artylerja nasza stała cokolwiek wyżej od piechoty, chociaż i tutaj panował nastrój wywołany programem kilkutygodniowego wyszkolenia rekruta. Straty w artylerji były znacznie mniejsze, wskutek tego każda baterja miała dużą ilość względnie starych żołnierzy, tak że stanu wyszkolenia artylerji zbytnio nie obniżały napływające

uzupełnienia, szkolone nieraz powierzchownie, jak się to działo w piechocie. Były baterje doskonale wyćwiczone i jeszcze lepiej strzelające, ale obok nich spotykało się także i takie, które w walce zawodziły zupełnie.

W taktycznym użyciu artylerji przeważały wpływy i tradycje wielkiej wojny, które nie zawsze odpowiadały wymaganiom kampanii 1919—1920 r. W wielu wypadkach artylerja ustawiała się zbyt daleko frontu, kiedy doskonale można było strzelać ogniem bezpośrednim prawie z linii piechoty. Taktyczne współdziałanie piechoty z artylerją pozostawiało wiele do życzenia. Artylerja była nieraz może zbyt ustępliwą wobec żądań piechoty, która stosownie do wzorów przejętych z wojny pozycyjnej, żądała długotrwałego i gruntownego przygotowania stanowisk, które można było wziąć śmiałym i zdecydowanym atakiem wręcz.

Podobnie, jak artylerja tak samo i *lotnictwo* cierpiało na brak dostatecznej ilości dobrego sprzętu. Aparaty, które nam przysyłano z zachodu, nie zawsze były w dobrym stanie i możliwe do użycia. Lotnicy nasi musieli latać na aparatach, posiadających wielkie braki i wskutek tego mieliśmy wielką ilość wypadków i strat, przewyższających straty od kul przeciwnika. W ciągu walk lotnich 1920 r. na froncie odczuwano ogromny brak lotników.

Ilość aparatów czynnych była stanowczo za małą, by podołać wszystkim wymaganiom stawianym lotnictwu przez wojsko, tak pod względem bojowym jak i wywiadowczym. Jakby się to przydało jeszcze kilka dobrych eskadr bojowych w czasie naszego odwrotu na Ukrainie i Podolu, kiedy z jazdą Budiennego nie mogła sobie dać rady ani nasza konnica, ani piechota. Śmiała i zdecydowana eskadra, ostrzeliwująca z niedużej wysokości kolumny jazdy bolszewickiej, mogłaby zadać poważne straty, zdemoralizować i w wysokim stopniu powstrzymać rozpęd dywizyj Budiennego. Lotnicy nasi, zwłaszcza jedna z eskadr lwowskich, z powodzeniem kilkakrotnie atakowali jazdę bolszewicką. Gdybyśmy mieli więcej aparatów dobrych, można byłoby akcję tę prowadzić stale i systematycznie, tymbardziej, że bolszewicy nie mogliby temu przeszkodzić, bo ich lotnictwo nie było zbyt obficie wyposażone. Sądzę, że w ten sposób znacznie prędzej byśmy pokonali Budiennego, niż przez rzucanie na niego kiepsko zaimprovizowanego korpusu jazdy.

Charakterystyczną cechą wojny z bolszewikami było wybitne zastosowanie do celów bojowych aut i pociągów pancernych. Wojna 1919-1920 była zdaje się pierwszą, gdzie

bronie te znalazły tak rozległe zastosowanie. Wprawdzie pociągi pancerne odgrywały niepowседневną rolę we wszystkich wojnach kolonialnych, jak np. w wojnie angielsko-burskiej 1900-1902, ale nie było to robione w takich rozmiarach, jak podczas wojny polsko-bolszewickiej. Po raz pierwszy na naszym froncie pociągi pancerne zastosowano w walkach o Lwów, a później przyjęły się one powszechnie na froncie wschodnim, biorąc w każdej akcji bardzo wybitny udział. Skuteczne zastosowanie pociągów pancernych w pierwszym rzędzie umożliwił brak silnej artylerji z obu stron. Bolszewicy także posiadali dość dużą ilość pancerek i trzeba przyznać, że używali ich bardzo umiejętnie i z ogromną śmiałością, co nie zawsze można powiedzieć o naszych.

Szerszemu zastosowaniu aut pancernych stał na przeszkodzie brak dobrych szos na kresach wschodnich, a także nieznaczna ilość aut pancernych, jakimi rozporządzało nasze wojsko. Umiejętnie użyte i prowadzone śmiało i z decyzją oddały one kilkakrotnie poważne usługi bojowe, jak np. wypad grupy pancernej z 3 armji, w czasie wyjścia na Wołyń, bezpośrednio po ofensywie warszawskiej. Grupa aut pancernych razem z oddziałem piechoty na samochodach ciężarowych i baterją dział polowych, szybkim marszem szosą z Chełma przez Brześć Litewski, uderzyła na Kowel i opanowała go przed tem nim bolszewicy zdążyli ewakuować miasto. Dzięki temu niesłychanie śmiałemu wypadowi oskrzydłającemu, do rąk naszych dostała się olbrzymia zdobycz w materiale wojennym i z górą 1000 naładowanych wagonów.

Co się tyczy czołgów, to wprawdzie tu i owdzie oddały one dość poważne usługi, jak np. przy zdobyciu Bobrujska w jesieni 1919 roku, ale na ogół w okresie walk ruchowych 1920 r. nie były bardzo potrzebne. Jeździły sobie spokojnie na platformach kolejowych i nie zawsze wiadano co z nimi robić. Odsyłano je daleko na tyły, by przypadkiem nie dostały się do rąk bolszewików, a gdy tu i owdzie nadarzała się możliwość zastosowania czołgów, to naturalnie nie było ich pod ręką; tak np. dywizja ochotnicza w pierwszych dniach października szturmowała Grodno, bez pomocy ciężkiej artylerji i czołgów, których nie można było podwieźć na czas.

T. Różycki.

O nasz stosunek do dzielnicy Poznańskiej.

Poznań w lutym.

Po przyłączeniu b. wielkiego ks. Poznańskiego do Rzeczypospolitej Polskiej, zarówno ze strony rządu jak i ze strony społeczeństwa, popełniono w stosunku do tej dzielnicy cały szereg błędów.

Najgłówniejszym z nich było danie możności pewnemu stronnictwu ubijania swych interesów partyjnych na sprawie wojskowej.

Sprawa odseparowania się, czy też wydzielania wojsk t. zw. wielkopolskich w odrębne jednostki wojskowe, noszące od samego początku zabarwienie dzielnicowości, była prawie całkowicie załatwiona w myśl życzeń znanych prowodyrów partyjnych.

Ustępstwo w sprawie powyższej, umotywowanie „odrębnymi warunkami“ b. dzielnicy pruskiej, było właśnie pogłębieniem dzielnicowości i umacniało grunt pod nogami tego stronnictwa politycznego, które po tak pomyślnie wygranych atutach wręcz zadecydowało, iż odtąd Poznańskie obiera sobie za najbardziej dogodną twierdzę i punkt oparcia dla przyszłych wystąpień przeciwko rządowi i demokracji.

Ale pomińmy sprawę wojskową, pomińmy również ściąganie do Poznania oficerów-poznańczyków, a rugowanie oficerów z b. Królestwa i b. Galicji. Jest to kwestja, która dopiero wtedy będzie rozstrzygniętą, gdy pomyślnie przeprowadzimy sprawę kulturalnego, duchowego i politycznego spojenia b. zaboru pruskiego z całością państwa. W tej bowiem chwili zaczynać sanację na terenie Poznania od wojska — znaczyłoby już niestety dolewać oliwy do ognia.

Pracę nad zatarciem różnic dzielnicowych trzeba obecnie rozpocząć nie od nakazów, rozporządzeń i t. d., ale od dokładnego wniknięcia w stan rzeczy w Poznańskim, od gruntownego zorientowania się w sytuacji, wytworzonej przez dwuletnie jątrzenie, a następnie od planowego, systematycznego działania na świadomość polityczną mas ludu poznańskiego i inteligencji.

Warszawa, jak już wspominaliśmy, popełnia w stosunku do Poznania cały szereg błędów. Otóż drugim z tych głównych błędów, było wysyłanie do dzielnicy poznańskiej ludzi niewyrobionych politycznie i życiowo, ludzi nieraz o wątpli-

wym podkładzie moralnym; ludzie ci nie orjentowali się w miejscowych stosunkach i swoją zbyt obcesową działalnością dawali tylko materiał do niezadowolenia.

Stronnictwo demokratyczno-narodowe działalność tych niedoświadczonych amatorów brało oczywiście za ilustrację do krytyki, która w rezultacie potrafiła nakłonić całe mieszczaństwo poznańskie do patrzenia na sprawy ogólnonarodowe pod kątem dzielnicowości i rzekomej wyższości organizacyjnej b. zaboru pruskiego nad całą Polską. Doszło do tego, że trzeba było za pomocą odezw hamować krewkość kołtuństwa poznańskiego, wśród którego krążyły najróżniejsze plotki i pogłoski.

Podawano już termin wystąpienia przeciw „Królewiakom”. W dniu 15, a następnie 17 stycznia r. b. miano się wziąć do „oczyszczenia” Poznania od „nieporządkanych przybyszów”.

Odezwy hamujące wydały dwa pokrewne stronnictwa: „Związek Ludowo-Narodowy” i „Chrześcijańskie Stronnictwo Pracy”. Był to w zasadzie znów tylko jeden z wypróbowanych manewrów. Oba te stronnictwa planowo i systematycznie dążyły do rozjątrzenia namiętności, by w odpowiednim momencie zamanifestować przed Warszawą stanowisko „ludu wielkopolskiego”, a następnie, ukazawszy całą „grozę sytuacji” i swoje partyjne wpływy, „zapanować nad położeniem” i nakazać spokój.

Narodowa demokracja zbyt jest sprytnem i doświadczonem stronnictwem, aby otwarcie propagować awantury i burdy. Ma ona od brudnych spraw swego murzyna, który wszystkie polecenia sprawnie załatwia.

Rolę murzyna w Poznaniu gra stronnictwo mieszczańskie, które na swych zebraniach nawet dość ostro i śmiało występuje przeciw narodowej demokracji, ale świadomie czy nieświadomie — zawsze jest tą spreżyną, którą N. D. może nacisnąć w odpowiednim momencie.

Pomimo wystąpień na zebraniach i pozornego zwalczania N-Decji, co wśród słuchaczy budzi tylko dobry humor, oba znaczne stronnictwa są zadowolone i zachowują „samodzielność”.

Groza położenia jest jednak w tem, że z posianego przez endecję ziarna plony zbiera agitacja niemiecka.

Niemcy chcą robotą endecką tak pokierować, aby ją przedstawić w oczach Europy, jako dążenie b. zaboru pruskiego do połączenia się z Niemcami, i zaszachować przez to sprawę plebiscytu na Górnym Ślązku.

Zarówno więc Niemcy jak i kołtuństwo poznańskie głosiło, że szalejąca drożyzna—to skutek napływu do b. dzielnicy

pruskiej przybyszów z „kongresówki“ i Galicji. I z jednej i z drugiej strony już poczęły się rozlegać głosy, że za czasów pruskich było lepiej, bo był „porządek“, był tani chleb, było mięso i t. d.

Agitacja niemiecka na terenie poznańskiego jest prowadzona nadzwyczajnie zręcznie i umiejętnie. Uprawiają ją ludzie, którzy wszędzie podają się za Polaków, za patriotów nawet. Ludzie ci umieją także posługiwać się rzeczywistymi Polakami. Przykładem tego jest zachowanie się tramwajarzy wobec t. zw. „kongresowiaków“, które doszło w styczniu do punktu kulminacyjnego.

A więc, biorąc pod uwagę cały powyższy splot zagniatanych wpływów i skutków agitacji, a mając na względzie konieczność sanacji wobec tak ważnej roli, jaką zawsze będzie odgrywać Poznańskie w naszym życiu politycznym i gospodarczym — trzeba zasadniczo zmienić cały dotychczasowy nasz stosunek do tej dzielnicy. Przejszć trzeba ze stanowiska bierności, zdawkowej krytyki i objętości, lub też z więcej wrogiego traktowania Poznania — jako ostoji reakcji, do realnego ujmowania zagadnienia, do konkretnej, pozytywnej pracy. Pomysłu nad nią i wykonać ją muszą w pierwszym rzędzie nie amatorzy, lecz ludzie wiedzy, idei, talentu i doświadczenia.

Jeżeli nadal obóz demokracji ma zamiar pozostać objętym na sprawy dzielnicy poznańskiej, to niechże sobie przynajmniej uświadomi, iż odpowiedzialność za utrwalanie się w Polsce reakcji i wstecznictwa, klerykalizmu i średniowiecznych atawizmów — spada w znacznej mierze na niego. Historia mu to kiedyś przypomni i zapisze na karb nieudolności.

Obóz demokracji niezależnej ma pretensje do reprezentowania interesów ogólnie narodowych. W oczach tego obozu narodowa demokracja — to partja obszarników i posiadaczy, przykrywająca i zręcznie maskująca swe stanowisko klasowe właśnie interesami ogólnie-narodowymi. Twierdzenie najzupełniej słuszne. Jednak słuszem jest również, iż nikt nie jest tak powołanym do bronięcia interesów ogólnie-narodowych, jak inteligencja, jak właśnie niezależna demokracja.

Ale gdy jedna część tej demokracji pogrąża się w niemej kontemplacji — druga jej część umiera już na uwięź starczy, przywieziony z emigracji w Rosji.

A więc „demokracja“ narodowa może w Poznaniu pozwalać sobie bezkarnie na reprezentowanie dążności „całego narodu“, a to tem bardziej, iż wie, że należycie podważyć ją można dopiero tu, — w jej mocnej twierdzy.

Marian Uzd.

EMISARJUSZE.

(C. d.)

Świt szary wpelzał do izby, gdy Zygler ocknął się. Zamglonemi, wółprzutomnemi oczyma chłonał sączący się skąpo poblask dnia, zwiastujący mu nawrót życia i męki. Nie od razu pojął, gdzie jest i czy jest. Ledwie wyzwalala się dusza z nieprzeniknionych mroków omdlenia. Wraz urzał okno w półprzymknięte, nawiane do połowy zwałami pulchnego śniegu. Dalekim, dalekim skojarzeniem wślizgnął się w zwoje mózgo-we—ten śnieg. Natężył wolę, ściągnął w cugle rozpięzchle, bezkrwiste myśli. Wraz wstrząsnął się, dociekl, przypomniał... Dźwignął z jakiegoś posłania, jął rozlatanemi rękoma i oczyma szukać Stacha.

Jezus, Jezus Marja — targał się w nim krzyk, rozdzierał serce.

Zjawila się przed nim żywa ta noc tam na polu, w śniegu. Poraz drugi przeżywał wszystko piekło męczarni. Zgrzyt jednoczesny sześciu odwodzonych zamków, grzmot miarowo udarem sześciu dłoni wprowadzanych w magazyn ładunków. Krótki głos komendy—jakby walił się cały świat. Światelko błędne, ćmiące w polu... I ten uścisk nagły, przedśmiertny, braterskiej dłoni...

— Stach, Stach — woła dusza...

Skrzypnęły ciężko opadłe w zawiasach drzwi. Dźwigający wiązkę słomy i miskę usypaną śniegiem — wszedł Stach. Ujrawszy przykucłego Zyglera rzucił niesione przedmioty dopadł go z radosnym wołaniem:

— Więc żyjesz przecież Jasiek — myślałem, że cię już nie docucę.

— Nu — niczewo, niczewo — kiwał nad nim dobrotliwie głową nowy wartownik—jakiś młody Wańka-krasnoarmiejec.

— Jeśli nie rozstrelajut — budżet zit'!

Drohojowski dał mu kilkadziesiąt odnalezionych w kieszeni rubli — z prośbą, by kupił kawałek chleba.

Gdy żołnierz wyszedł — dopiero dali folgę wezbranej czulości. Stach usadowił go wygodnie, podesłał przyniesioną słomę, zgarniając w jakiś łachman i wyciskając w miskę szeroko rozlane strugi roztopionego śniegu, którym długie chwile nacierał mu skronie i piersi w krytyczną noc. Poczym przysiadł się doń i opowiadał cicho, jak to było „kiedy—tyś upadł“.

— Wiesz, Jasiek, uśmiechał się, patrząc nań swemi jasnymi, kochanemi oczyma — myślałem żeś już kitę odwalił. Pociągnąłeś mnie z sobą, gruchłem razem z tobą w śnieg. Gdym wstał — musiałem prosić się tych zbirów, żeby strzelali. Nie chcieli. Kazali mi wracać tutaj. Zdawało mi się, że oszaleję. I oni też myśleli, żeś ty umarł. Chcieli zostawić cię tak w śniegu, nie pozwolili ruszyć. Dopiero przyszedł Malinowski. Widziałeś to światelko — to właśnie był on. Poprosiłem go zaraz, żeby pozwolił, mówiłem że to urąga wszelkim pojęciom ludzkości, hańbą na wieczne czasy okrywa sztandar socjalizmu. Uniósł się, krzyczał coś, kłął ale wreszcie przystał. Sam nachylił się nad tobą, badał, powiedział że to głupstwo — ot tak, słabe masz serce. Poczym przysłał jakąś wódkę, radził nacierać śniegiem.

— Wiesz — nachylił się nad nim jeszcze większym szepem — taki jakiś dziwny ten Malinowski, mnie się czasami zdaje, że on nasz.

— Ładny nasz — kazał wyprowadzić na rozstrzelanie.

— Może musiał.

Zamilkli. Pograżyli się w nieznane morze dociekań, domysłów, nadziei. Co będzie? Zakują, zamkną, wywiozą, a może puszczą wolno, a może przyjdzie polskie wojsko i odbije? Cóż? — wszystko możliwe, czterdzieści kilometrów. — Kawalerja przejdzie w jeden dzień. Wiedzieli jedno tylko, że tak dłużej trwać nie może, że nie zniosą dłużej tych prób i niepewności.

Zygler leżał z głową opartą o ścianę, z przymkniętymi oczyma, bledy, bez życia — jak trup. Drohojowski wyciągnął się koło niego, wsparł na prawym łokciu i patrzył w przestrzeń.

Okolo południa wypuszczono wszystkich więźniów. Do izby raz poraz wchodzili czerwonogwardziści, by przyjrzeć się szpionom od bielych i „polskim legjonistom“, jak ich nazywali. Pluli zawzięcie, miotali nie nadające się do powtórzenia, ohydne, najwstrętniejsze wyrazy. Urządzono z nich wesołe widowisko. Przychodzili jak do klatki z ciekawemi okazami zoologicznemi; — jakieś rosły, milczące chłopcy w ubraniu żołnierskim, gamoniowate podrostki i baby młode i stare z dzieciakami i bez dzieciaków, opatulone szczelnie pod sam nos w lachmany brudnych chust. Patrzyli wybaluszonymi ślipiami, kiwali niedowierzająco głowami z niedającym się określić na bezmyślnych twarzach wyrazem — i odchodzili.

Czasami chłopak jakiś cisnął kulką śniegu, czasami starsi obelgą — wszyscy tłamsili w ustach jedno słowo „szpion“.

Drohojowski posilał się przyniesionym przez żołnierza

czarnym, mokrym, glinowatym chlebem i wlewał Zyglerowi przemocą wywar ziemniaczanych łupin — jedyną potrawę obiadową.

— No, Jasiek — przez rozum — pij — bo kipniesz i co wtedy?

Ogrzali się trochę i próbowali zasnąć. Drzemali krótko, zrywając się nerwowo i otwierając oczy za każdym szelestem; leżeli tak kilka godzin. Zapadał wczesny marcowy zmierzch, gdy znowu weszło kilku żołnierzy. Mieli u pasów tylko broń krótką. Stach udał, że śpi. Idący przodem bolszewik, ku zdumieniu Zyglera niósł na żelaznej, starej od popiołu łopacie — kilka rozżarzonych do czerwoności węgli. Otworzył dolne drzwiczki pieca, wysypał tam płonącą żagiew.

— Będą nam palić w piecu. Dziwił się naiwnie Zyglar. Weszło jeszcze kilku ludzi, znowu kilka bab. W półmroku coś gwarzyli z sobą. Żołnierze mówili głośno z nieodstępniemi co kilka słów najordynarniejszemi przekleństwami o mnóstwie włóczących się, psia ich mać, szpiegów, o dwóch dopiero rozstrzelanych wczoraj kobietach — rzucali przytem na leżących rzekomo śpiących nienawistne spojrzenia wypadłego z klubów, zezwierzęconego, szukającego zera motłochu.

Nie przestając wymyślać zbliżyli się do Drohojowskiego zaczęli go kopsać nogami, wołając żeby wstał. Kazali usiąść mu pod piecem. Dwuch trzymało go za ramiona, dwuch innych z trudnością ściągało buty, zwlekało brutalnie szare skarpetki.

Zyglar przerażony zbierał resztki sił i patrzył, nie zdając sobie jeszcze sprawy, do czego to wszystko zmierza.

Wówczas jeden z oprawców zgarnął pogrzebaczem ogień, ujął w szczypcę zarzący węgiel, otrząsnął z popiołu i wśród ogólnego poruszenia i śmiechu przytknął do nagich stóp Stacha, opierając sobie przeciwległy spojony koniec szczypiec o brzuch.

Zyglar przez wąską szparę z za przypatrujących się widzów dostrzegł na krótką chwilę twarz kolegi.

Dostrzegł, jak z tej wesolej, rumianej twarzy ściekła naraż wszystkich krew, jak cierpła, przyoblekała się zwolna w białą-żółtą mat kości słoniowej. Nie wiedział kiedy znalazł się przy piecu, z dziwnym jękiem runął ku oprawcy, rękami usiłując schwycić piszczący o przypiekaną skórę, płonący żar. Schwytały go w pół obezwładniły w raz twarde ramiona. Migiem wyciągnięta zimna stal rewolwerowych łuf przyłgnęła mu do skroni.

— Strzelajcie, zakujcie, palcie — to ja winien — on nie winien — miotał się bezsilny.

Na zbiegających wargach Drohojewskiego zatlił się uśmiech męczeński, blady—kołatał się jak zwykle koło ust, lecz tym razem nie zdołał rozpromienić lic, nadając im wyraz trupi.

— Spokojnie — Jasiek... ja nie cierpię nic.

Zygler odprowadzony w drugi kąt izby, trzymany w żelaznych kleszczach potężnych ramion twarzą do ściany — nie panował już nad sobą, zanosił się straszonym, suchym szlochem.

Opatrywał mu zbolełe, nabrzmiałe rany wilgotną miazgą zrobionego razowca. Miejscami na poddanych torturom stopach potworzyły się pęcherze, wielkie bąble napelnione wodą. Siedział tak nad nim długo, długo w noc, aż jął go mórzyć sen. Drohojewski leżał milczący i też, zdawało się, drzemał. Wraz po cichu jął mówić. W pierwszej chwili Zyglersądził, że mamrocze coś przez sen. Pochylił się nad nim. Drohojewski mówił sucho, twardo, prawie oschle—bez właściwej mu młodzieńczości i junackiej brawury. Głos płynął mu z nieznanych, głębi matowy, bezdźwięczny, jakby nie jego. Z trudnością wyrzucał z siebie krótkie, gorzkie słowa, urywane zdania—myśli.

— Trzeba raz z tym wszystkim skończyć. Oto już przebrała się miara cierpliwości i miara wytrwania. Nie jest stworzony na męczennika. Nienawidzi Anhellizmu. Toteż nie dopuści więcej tyranstwa, krwawego pastwienia się nad nimi. Przy pierwszej sposobności sprowokuje jakiegoś tam ich komisarza, zdzieli w twarz, rąbnie w głowę, rzuci się na niego, zasymuluje ucieczkę, żeby tylko strzelili, zabili, żeby się skończyło.

Siuchającemu go Zyglersowi lzy stanęły w oczach, nie wiedzieć czemu zadźwięczały mu w duszy spiżowe tony mickiewiczowskiej pieśni. „Gustavus obiit, natus est Conradus”. W nagłym jasnovidzeniu pojął, że Drohojewski w tej chwili, w tę noc, w bólu przeżywa młodość „górną i chmurną”, że oto przedwcześnie zaczyna twardy „wiek męski—wiek kłęski”. Nie stało jeno „czystych, rześistych łez“...

KSIĄŻKI:

Prawda o Górnym Śląsku.

Wydana przez kancelarję sejmową mowa posła Wierzbickiego o Śląsku stanowi ważny atut w rękach polskich dla

walki plebiscytowej. Dla czytelników naszego pisma ogólne wytyczne programowe tej broszury nie będą zupełnie nowymi. Opiera się ona bowiem na tym samym dorobku naukowym i statystycznym, na którym oparty był artykuł Dr. Zwislockiego w naszym piśmie, więc przede wszystkim na pracy Dr. Kramsztyka. Gdy jednak praca Kramsztyka jest ściśle naukową — to broszura p. Wierzbickiego, opierając się na tym samym materiale, w niejednym ważnym szczególe jeszcze rozszerzoną, jest jednocześnie pracą polemiczną. Występuje ona do walki z upowszechnioną w Europie opinią nieprzychylną dla Polski która urobiona została przez książkę Keynes'a, doradcy w sprawach ekonomicznych L. George'a. P. Wierzbicki na podstawie zestawienia materiałów dowodzi, w jaki sposób Keynes uległ mistyfikacji sfalszowanych cyfr niemieckiego Memorjału w sprawie warunków pokoju, wykazuje w zestawieniu z autentycznymi źródłami niemieckimi, że cyfry, jakoby Polska konsumowała tylko 10½ miliona ton, a nie 19½, jakoby sprowadzała ze Ślązka 1½ milj. ton, a nie 7 milj. 853 tysięcy, są poprostu sfalszowane, a bezkrytycznie przyjęte przez Keynes'a i opinię ekonomistów angielskich. Autor podkreśla dobitnie fakt, że węgiel górnoślązki stanowił już przed wojną 40% w konsumpcji polskiej, a tylko 9% w niemieckiej, a potem już tym samym szlakiem co Kramsztyk analizuje skąd G. Ślązk czerpie rudę, żywność i inne surowce, i wykazuje o wiele silniejszy jego związek gospodarczy z Polską niż z Niemcami. Wywody te rzuca następnie autor na tło ogólnoeuropejskich stosunków gospodarczych i gospodarczopolitycznych.

Prawdziwą rewelacją są ogłoszone w mowie tajne memorjały przemysłowców górnoślązkich z czasu wojny, które domagają się połączenia Polski z Niemcami w interesie przemysłu górnoślązkiego i wyraźnie stwierdzają, że „o ileby kraj polski nie miał być przez pewien czas dłuższy wykorzystywany przez G. Ślązk, to przemysł ślązki musiałby utknąć, a jego wartość dla odbudowy i rozwoju państwa niemieckiego będzie się zmniejszała“.

Do mowy p. Wierzbickiego dodany jest w broszurze obszerny zbiór materiałów, jak: Uwagi Delegacji niemieckiej o traktacie pokojowym z dn. 29 maja 1919, cytaty z pracy Keynes'a: O konsekwencjach gospodarczych traktatu pokojowego, cytaty z monografii „Handbuch des Oberschlesischen Industrie-bezirks“. Tajne memorjały Górnoślązkiego Stow. górniczo-hutniczego, Izby handlowej pow. Opolskiego i t. d.

A. Sk.

Naganka na osadnictwo żołnierskie.

„Zuchowaty“, litografowane pismo żołnierskie, wydawane na froncie, pisał w grudniu roku ubiegłego:

„Dochodzą do nas wieści, że sprawa obdzielenia żołnierzy ziemią nie przechodzi w Sejmie tak łatwo, jak się tego należało spodziewać.

Przypisać to chyba należy zmianom nastrojów sejmowych, lub też krótkiej pamięci naszych posłów.

Z łatwością jednak daje się stwierdzić, że artykuły pism i odezwy do żołnierzy w tej sprawie z pamiętnych dni sierpniowych nie wytrzymują porównania z obecnymi sprawozdaniami z posiedzeń sejmowych.

Ci, którzy dziś w Sejmie chcą spaczyć inicjatywę Naczelnego Wodza, czyli delikatniej mówiąc, sprowadzić ją na linję swych interesów, zapomnieli chyba, że nie dawniej jak trzy miesiące temu posyłali pod adresem żołnierza na froncie pobożne westchnienia, by jeszcze te kilka wiorst poszedł naprzód, bo tam leżą jeszcze... ich majątki.

Żołnierz stoi jeszcze na froncie i patrzy w jedną stronę rokowań pokojowych, czy też tak idą, iż wynik będzie odpowiadał rezultatom jego pracy. Obserwuje jednak i drugą stronę: swoje własne społeczeństwo, czy umie ono ocenić jego trudy i poświęcenie“.

W tej samej sprawie ukazało się w ubiegłym tygodniu oświadczenie ziemian; czytamy tam:

„Celem przeprowadzenia prawidłowego osadnictwa na wschodzie i nagrodzenia zasług żołnierza polskiego, wydał sejm w d. 17 grudnia r. 1920 ustawę o „przejęciu na własność państwa ziemi w niektórych powiatach Rzeczypospolitej.

„Myśli przewodniej ustawy należy przyznać słuszość... rozumnie i planowo prowadzona akcja osadnicza pobudzi na zamarłych i zniszczonych kresach Rzeczypospolitej ożywczy prąd inicjatywy prywatnej, ureguluje zawiłane stosunki układu własności, zwiąże ściślej kresy z macierzą, wreszcie wzmoże produktywność żywych jednostek gospodarczych przez zlikwidowanie słabych i zrujnowanych.

„Tej myśli ustawa z d. 17 grudnia r. z. zadość nie czyni, co więcej, paczy ją, a wynik jej stosowania przeczy zgola zamierzonym celom. Wydanie projektu bez udziału miejscowej ludności w sejmie ustawodawczym stanowi o zabranii posiadłości, których właściciele nie powrócą przed pierwszym kwietniam r. 1921..., lekceważąc interesy miejscowej ludności, sieje waśń i tworzy wrogów. Wielką myśl, która wiąże się z odległymi tradycjami polskiego na wschodzie posłannictwa, wprowadzono na drogę, która po kilku krokach wywoła ciężkie przesilenie, gorzkie zawody i rozczarowanie, powszechne szemranie i nastroje separatystyczne i pretensje nieugaszone nigdy... (Djabel się w komżę ubrał i ogonem na mszę dzwoni! *Red.*).

„To mając na myśli, odwołujemy się do rozumu rządu, aby poddał rozważde rozpoczętą akcję i zapobiegł, póki czas na to pozwala, nieuniknionej szkody, na jaką interes państwa i obywateli jego niechybnie narażony będzie“.

A jednocześnie „Rzeczpospolita“ zapowiada interpelację sejmową — i pisze:

„Z góry można było przewidzieć, że o wynikach tej pracy rozstrzygać będzie jej poziom organizacyjny. Najpierw przygotować — później zacząć — powinno było być wobec niesłychanej wagi będących w grze spraw pierwszą dewizą. A więc należało w pierwszym rzędzie

powołać do życia instytucję, za całość pracy odbudowy na zniszczonych obszarach odpowiedzialną, następnie wobec specjalnych warunków zniszczenia wygotować jako podstawę szczegółowe dane statystyczne, zabezpieczyć finansową i techniczną stronę akcji, t. zn. kredyty, odpowiednie zapasy narzędzi rolniczych, budulca, nasion i t. d., stworzyć odpowiednie komisje rejestrujące i badające osadników, rozłożyć całą akcję na racjonalne etapy. Tego wszystkiego mogło społeczeństwo oczekiwać, gdyż chodzi tutaj o przywrócenie państwu i kulturze obszarów, równających się jednej czwartej obszarów państwa polskiego.

„Cóż się jednak stało?

„Sprawę osadnictwa żołnierzy i odbudowę zniszczonych obszarów w 22 powiatach wschodnich wzięło w swe ręce Ministerstwo Spraw Wojskowych, tworząc Sekcję osadniczą. Sekcja ta wydała z końcem stycznia „Instrukcję” dla pułków i dywizyj, które całą akcję osadnictwa żołnierskiego oddają w ręce poszczególnych oddziałów wojskowych, polecając im tak wynajdywanie na własną rękę odpowiednich majątków, jak i przeprowadzanie na nich osadnictwa. Pomijając już cały szereg momentów we wspomnianych „Instrukcjach”, które wskazują na zupełny brak kompetencji i znajomości podstawowych warunków akcji autorów, uderza nas w tym kroku władz wojskowych wielka lekkomyślność. Olbrzymie, niesłychanie trudne i skomplikowane, zagadnienie osadnictwa...” i t. d.

Tak jest! Słuszność niestety mieli żołnierze z „Zuchowatego”, Pp. ze Związku ziemian i „Rzeczypospolitej” nie chcą, by pierwszym „etapem” było właściwie zaczęcie pracy w terenie; „kompetencyj” swych używać usiłują na zaobstruowanie wykonania sprawy, przypomniał sobie nawet... Białorusinów, by tylko bronić „misji” żubrów kresowych i przeciwdziałać temu, by na wschodzie nie zostały stworzone fakty dokonane, które reformę rolną wewnątrz kraju również pełnić mogą naprzód.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA:

Strajk powszechny wywołany strajkiem kolejowym i militaryzacją kolei—zakończył się. Rząd podniósł mnożnik i zniósł militaryzację, masy robotnicze przekonały się, że tylko zorganizowana akcja jest celową. Alarmy prawicy, która chciała przez wyolbrzymianie „niebezpieczeństwa”, stwarzać kurs polityczny po swojej myśli — okazały się pustymi strachami. Nie mniejszy zawód mają także te czynniki zewnętrzne, które przez rozdymanie sprawy chciały wygrywać swoje atuty, — czy to na Górnym Śląsku, czy w Rydze.

W sejmie, przy okazji, omawiania skonfiskowania przez władze administracyjne interpelacji ogłoszonej drukiem, doszło do skandalu niebywałego. Wywołał go niestety ten, kto z natury urzędu swego stać powinien na straży praw i godności sejmu — p. marszałek Trąmpczyński. Wzdragął się on mianowicie stanąć na gruncie nietykalności interpelacji sejmowej, co wszędzie na świecie jest alfabetem parlamentaryzmu. Prawica usiłowała bronić tego stanowiska, w rezultacie jednak sejm

jednomyślnie stwierdził nietykalność interpelacyj i zdezwuował w ten sposób marszałka.

Rokowania w Rydze idą teraz szybszem tempem. Nie jest to jednak zasługą delegacyi polskiej, która ciągle pozwala na to, że inicjatywa jest w rękach przeciwnika. Powodem zmiany jest raczej to, że bolszewicy niepewną sytuacją wewnętrzną zmuszeni są do pośpiechu.

Ale jeśli na prawdę sytuacja bolszewików w Rosji jest niepewna, to i nasz traktat z nimi staje się coraz bardziej problematycznym.

Sytuacja w Rosji staje się niepewną dla bolszewików. Coraz liczniejsze wiadomości donoszą o strejkach powszechnych, o formalnej rewolcie w Petersburgu, o ruchach chłopskich pod Moskwą. Na Ukrainie powstanie również nie ustaje, a Machno ze swą grupą powstańczą zagraża Krymowi.

Do tych wieści należy zawsze odnosić się krytycznie, bo wiele w nich bywa przesady. W każdym razie jednak baczna trzeba na nie zwrócić uwagę, bo mają one dla Polski wagę pierwszorzędną.

Na konferencji londyńskiej. Niemcy złożyli swe propozycje co do odszkodowań, które ze zobowiązań ich starają się uczynić fikcją. Stanowisko ich zostało przyjęte jako nie poważne. Może Anglja zrozumie wreszcie grę niemiecką, zmieni swą ugodową taktykę, która jak dotąd odbijała się ciągle na interesach Polski.

Auxilium Academicum, stowarzyszenie pomocy dla zdemobilizowanych żołnierzy akademików, zawiązało się w Warszawie pod prezesurą prof. Mikułowskiego Pomorskiego—i wzywa obywateli oraz stowarzyszenia do zapisywania się na członków dożywotnich (2,000 jednorazowo), rzeczywistych (200 m. rocznie), lub wspierających (50 m. rocznie) Adres Stowarzyszenia Krak. Przedm. 26.

PRASA:

Sowiecką Rosję informuje „*Rzeczypospolita*“ № 46, o stosunkach polsko-ukraińskich, umieszczając artykuł p. Rawity - Gawrońskiego „Dumki ukraińskie.“ Zapytuje pan Gawroński, co powiedzą Sowiety na jakieś potajemne konszachty Rządu polskiego z Petlurą, które najwidoczniej istnieją, skoro pozwala się wojskowym ukraińskim jeździć za darmo kolejami polskimi.

P. Gawroński obawia się widocznie, by w tem bolszewicy nie znaleźli pretekstu zerwania rokowań. Trudno tłumaczyć, że się niepotrzeb a zbyt to o bolszewików troszczyć w tym wypadku, znajdują oni bowiem daleko poważniejszą przyczynę w razie potrzeby. Poza tem nam wolno chyba dać Petlurze schronienie przed bolszewikami. Czy lepiej mamy ich

wszystkich uwięzić, a Małopolskę wsch. zacząć polonizować przemocą; czyli nawracać dla Sowietów?

Kurjerkowa radość. „Kurjer warszawski“ w artykule p. Władysława Rabskiego pisze:

„Na rogach ulic stoją grupy ludzi i czytają z *radosnem* zdumieniem dekrety rządu, naczelnika państwa i generała Iwaszkiewicza.

„Militaryzacja kolei!

„Nareszcie!

Na rogach ulic stoją grupy ludzi i w każdej grupie słychać słowo: „Nareszcie!“ A gdy ktoś spróbował prowokacji i zgryztnął—„Żandarmji!“ podniosło się sto pięści i wepchnęło mu w gardło bolszewicką ślinę“.

I czemuż tu się tak cieszyć? Że toczą robotnicy ciężką walkę o byt, że walkę tę wyzyskują żywioly antypaństwowe, że rząd uczul się zmuszonym aż do tak gwałtownych środków?—Ale oto odpowiedź. W tym że *Kurjerse* z 26 bm. czytamy:

„Nie znajdzie się ratunek, póki się nie zmilitaryzuje energii, aby zyski nikczemne z paszcz spekulacji wyszarpać...

Moment jest krytyczny. Jeśli rząd sam się nie czuje na siłach — niechaj zwoła nową radę obrony państwa z udziałem *przedstawicieli producentów i poważnego kupiectwa*. Niechaj pierwsi dopomogą do wydobycia ukrywanych zapasów krajowych, drudzy do sprowadzenia zboża z Gdańska bez trądu spekulacji“.

Rzeczywiście—pomysł godny „Kurjera warszawskiego“. Na szczęście rząd „dla przedstawicieli poważnego kupiectwa“ znalazł inne miejsce niż nowa R.O.P.—zamknął ich do kozy.

WARUNKI PRZEDPŁATY.

Zeszyt	Mk.	10.—	1 strona ogłoszeń	Mk. 1000.—
Miesięcznie z przes.	„	40.—	$\frac{1}{2}$ „ „ „	500.—
Kwartalnie „	„	120.—	$\frac{1}{4}$ „ „ „	250.—
Na prowincji miesięcz.	„	50.—	Redakcja i Administracja	
„ kwartal.	„	150.—	Warszawa, Szpitalna 12 tel. 175-34.	
Zagranicą „	„	250.—	Konto czekowe 518.	
			Administracja czynna od 9 r.—3 pp.	

Zastępstwo na Stany Zjednoczone: Polish News Agency, 26 Newark Avenue, Jersey City N. J.

WYROBY FARM. LABOR. „AP. KOWAŁSKI“
W WARSZAWIE, MIODOWA 1.

Ważne dla wojskowych!

ODCISKI brodawki i
skórę zgrubia-
łą na podesz-
wach bezpo-
wrotnie i bez
ból u suwa **„KLAWIOL“**

Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych.

Bez operacji radykalna pomoc dla najzastarzalszych
i najniebezpieczniejszych cierpień przepuklinowych
u panów, pań i dzieci!

Proszę żądać prospektu gratis i franco od specjalisty c. k.
patent., bandaży przepuklinowych,

M. Freilicha, Lwów, ul. Gródecka 1. 35,
we własnym domu.

Dla pań różnego rodzaju bandaże przepuklinowe spo-
rządza kobieta pod jego nadzorem.

Świadectwo Lekarskie.

Podpisany poświadcza, że Józefa Heckera, któremu
p. M. Freilich dnia 24 marca 1893 r. nałożył bandaż przepu-
klinowy, znowu dziś oglądałem i sumiennie uważam, że prze-
puklina ani widzialna ani dotykana więcej nie jest,
pomimo pozostałych po niej śladów na ciele.

Twierdzę, że odpowiednio zastosowany bandaż przepukli-
nowy usuwa całkowicie tę chorobę i w starszym wieku czyni
chorego zdolnym do dalszej pracy zawodowej.

Lwów 1 lipca 1893 r.

Prof. Dr. Józef Weigel.